Rok 1938 19 czerwca Nr 25

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"



Oto najświętsze miejsce świątyń katolickich: maluchny domeczek ponad ołtarzem Pańskim, zamykający w swoim wnętrzu samego Boga, Pana nad pany, więźnia miłości dla ludzi na ziemi.

Ten Jezus-Dziecię wyobrażony w bieluchnej Hostii opłatka — to Jagniątko najniewinniejsze, które jako Baranek Boży spłynęło później własną krwią ofiarną za grzechy świata. Po przez odemknięte drzwiczki Tabernakulum wygląda, czy nie pospiesza do Niego gromadki młodych i najmłodszych, których On tak bardzo ukochał... Dla nich to szczególnie pod postacią właśnie Dzieciątka uśmiecha się słodko i rączki święte rozłożywszy, szepcze cichutko:

— Pójdźcie do mnie, dziatki najmilsze... Pragnę was nakarmić, abyście jak najwcześniej zasmakowały w Chlebie, jaki ja wam podam... Pragnę, abyście — zanim w życie wejdziecie, już się tym Chlebem moim umocniły tak, by świat was nigdy zwyciężyć nie zdołał... Oto nie z krzyża swej męki przemawiam, ale jako wasz braciszek rówieśny, jako jedno z pośród was... Lecz ja ten sam, na którego patrza wasi ojcowie i matki wasze, dla których krzyż cierpienia już nie straszny... I wy zapoznacie się z nim kiedyś, gdy czas nadejdzie... Dzisiaj weselcie się jeszcze jako dzieci i mnie dajcie się weselić w sercach waszych. A kiedy przechodzić będę drogami waszych miast i siół, pobłogosławię schylone wasze głowy i z radością przyjmę kwiatki polskich łąk, pól i ogrodów, jakimi będziecie torować ścieżki mojego pochodu... Oddajcie mi jednak i serca wasze, bo te mi są najmilsze...

Polska na morzu

Polska, która niegdyś rozciągała się „od morza do morza“, od Bałtyku po morze Czarne — dziś zadowalać się musi zaledwie 78-kilometrowym wybrzeżem morskim. W taki bowiem niesprawiedliwy sposób Pokój Wersalski po wielkiej wojnie światowej zadecydował o tej sprawie, bojąc się widocznie już zawczasu potęgi odradzającej się Rzeczypospolitej.

Mimo jednak takiej szczupłości tego naszego „okna na świat“, Polska w ciągu lat niewielu zamieniła zaniedbane zupełnie przez Niemców wybrzeże w szmat kraju tętniący życiem, bogactwem, pracą. Tam, gdzie przed wojną drzemała cicho nieznana prawie nikomu wioska rybacka, powstał myślą, wysiłkiem i groszem polskim okupiony jeden z najwspanialszych portów świata — Gdynia. Można rzeczywiście przyznać, że kto ujrzał ją w latach ostatnich, a wspomni sobie jak wyglądała dawniej, to ręce składa w niemym zachwycie, jak przed jakim cudem.

To Gdynia sprawia, że Polska zaliczać się już dzisiaj może do państw nie tylko lądowych, ale i morskich, bo stąd idą na wsze strony świata nasze statki, stąd to z łopotem wypływa na szlaki oceaniczne nasza bandera — roznosząc wszędzie imię polskie. Jakżebyśmy się dusili w ciasnych granicach naszego państwa, gdyby przez to „okno“ nie zawiewało ku nam potężne, zdrowe tchnienie morskich przestrzeni, nie wołał ku nam ich głos:

— Polaku młody, oto droga dla ciebie otwarta, popróbuj mocy swojej na naszych falach wieczyście ruchliwych! W ryku i świście morskiej wichury, w tysiącu przeszkód i odnoszonych nad nimi zwycięstw, zahartujesz swe ciało, swoją wolę, swojego ducha, iże ci już żadne niebezpieczeństwo straszne nie będzie. Tam, na tych niezmierzonych obszarach wód, kędy jeno niebo nad tobą, a pod nogami otchłań bezdenna, zrozumiesz i odczujesz potęgę twórczą Tego, co świat cały z niczego uczynił, a tobie pozwolił być panem nad nim, jednak w imię Jego nieodmiennych praw.

Tak, morze — to wielka szkoła charakterów. A komuż bardziej, jak nie Polsce, którą przez półtora wieku obca gniotła ręka i obca naginała wola — potrzeba wielu, bardzo wielu ludzi mocnych, niezachwianych, odważnych, umiejących nie zadrżeć przed niczym, choćby najstraszniejszym.

Dlatego należy, by jak najwięcej garnęła się polska młodzież do służby na morzu, zarówno w flocie handlowej, jak i wojennej, czy choćby tylko rybackiej, bo to wszystko praca dla kraju, dla podniesienia jego znaczenia, powszechnego dobrobytu i siły.

Ale na tych wodnych drogach narodu, niechaj mu zawsze przyświeca ta przejasna **Gwiazda morza,** która potrafi wywieść z najciemniejszych dróg, z najbardziej groźnych wirów i odmętów, i wskazać swym światłem niebieskim przystań bezpieczną.

Maria Najświętsza niechaj będzie przewodnicą polskiej bandery!

* * *

Gdynia początkiem swym sięga w dalekie czasy starożytne. W Oksywiu, osadzie rybackiej, które dziś stanowi część miasta, znaleziono groby i urny z monetami fenickimi i rzymskimi, co świadczy, że tu przybywali kupcy z Fenicji i Rzymu, hen z nad morza Śródziemnego, po nadzwyczaj w on czas ceniony i poszukiwany bursztyn. W zamian przywozili karawanami swoje wyroby, a przede wszystkim słynny po całym świecie swój oręż.

Gdynię w wieku XIII książę pomorski Światopełk podarował opactwu Cystersów w Oliwie; w następnym wieku przeszła na własność klasztoru Kartuzów. Tu często przybywały statki gdańskie z towarami cudzoziemskimi, które następnie drogą lądową szły w głąb Polski.

Wioska rybacka Chylonia i Kolibki, które dziś weszły też w obręb Wielkiej Gdyni, należały dawniej do rodu Sobieskich. Żona Jana III, królowa Marysienka bardzo często przebywała w Kolibkach dla morskich kąpieli, a pamiątką po niej jest „grota Marysienki“ w parku kolibowskim, gdzie stał niegdyś pałac Sobieskich.

Ludność kaszubska brała zawsze czynny udział w życiu ówczesnej Polski i przechowała w sercach miłość Ojczyzny, mimo prześladowań i długoletniej niewoli. Gdy się ważyły losy wybrzeża w czasie pamiętnych obrad powojennych w Wersalu, stary Kaszub Alfons Abraham, pojechał do prezydenta Ameryki Wilsona i swoim słowem — pełnym umiłowania Ojczyzny, przekonał Go o polskości narodu kaszubskiego i przynależności jego do Polski. To też nazwisko jego winno być przechowane w sercach naszych z wdzięcznością.

Kwiat paproci

Przez bór ciemny, przez odwieczny — szedł raz Chrystus w szacie białej.

Cisza była dookoła, cisza świetlna i rozwiewna, jako echo zadumana, jako fletni tony rzewne. Słońce słało swe promienie, swe kaskady szczerozłote, by oświetlić, opromienić Jego długą, ciemną drogę. Dzielne dęby, hoże lipy, smukłe klony i topole, liściem bujnym się okryły, rozesłały swoje cienie.

Słowik swe rozsypał trele, zawtórzyły inne ptaki, pieśń ku Panu popłynęła, pieśń na skrzydłach srebrnobiałych, niosąc korne dziękczynienia.

Jedna tylko paproć leśna stała smutna, zadumana, płacząc kroplą srebrnej rosy, zawodziła swoje skargi. Skargi smutne, zajękliwe, niby wichrów polnych granie, skargi ciche, beznadziejne, niby deszczów głuche łkanie: — Wszystko się raduje w Panu, słońce swoje śle Mu blaski, kwiaty wonie, drzewa cienie, ptaki srebrne tony pieśni. Tylko ja nic dać nie mogę, nic Mu w kornej złożyć dani, toż i ronię łzy rzęsiste, opłakując smutną dolę".

Wtem zadrżała paproć leśna, zachwyceniem wielkim zdjęta, bo dostrzegła, bo ujrzała swego Ojca, swego Pana.

Gdy ją ujrzał Pan nad pany, taką nikłą i ubogą, taką smutną i cierpiącą, dotknął Swoją białą dłonią jej zielonych listków drobnych. — Kocham cię, bo krom miłości nic mi nie masz do oddania, kocham cię, boś uboga, boś cierpiąca jest i smutna.

I wnet stał się cud promienny, cud nad wszystkie cudy świata: pod dotknięciem białej dłoni wykwitł kwiat z promieni słońca, z jasnych barw jutrzenki tkany... Wszystko wokół zaniemiało, w srebrnej utonęło ciszy, jedna tylko paproć drżała, niby wiatrem kołysana. Wówczas spytał Pan nad pany: — Co ci biedna ty roślinko, czemu drżysz tak bezustannie, dziwnym, ciemnym lękiem zdjęta?

— Boję się... — paproć szepnie swoim cichym, kornym głosem. — Ledwo w skromnej swojej krasie rozwiną się kwiaty polne, a już ginąć im przychodzi pod straszliwą śmierci kosą. Ledwie wonne krasne róże rozpłomienią się purpurą, woń czarowną śląc wokoło, już je zrywa syn człowieczy, by swe pyszne zwieńczyć czoło. Więc się lękam, więc się trwożę, by oko złego człowieka nie dojrzało Twego daru, nie dotknęło listków srebrnych.

Uśmiechnął się Pan nad pany, a uśmiechem swym jak słońcem opromienił i rozjaśnił ziemię, niebo dookoła. I przemówił głosem takim, że umilkły zasłuchane w cudne dźwięki leśne ptaki: — Wysłuchana prośba twoja! Nie ujrzy paproci kwiatu oko w świat patrzące bez miłości, nie dosięgnie dłoń człowieka, który choćby raz przez życie odtrącił rękę nędzarza z korną prośbą wyciągniętą. Kwiat paproci kwiatem dobrych, kwiatem czystych będzie zwany, kto posiędzie kwiat paproci — temu szczęście, temu chwała...

Zaszumiały wszystkie drzewa, zaśpiewały leśne ptaki i rozniosły wieść o cudzie na wsze kraje tego świata...

* * *

Upłynęły długie lata, długie lata, wieki całe, a kwiat jasny, kwiat srebrzysty rośnie, kwitnie w leśnej głuszy, rozświetlając smutne mroki. Już wieść o nim też zamilkła, niby pieśni ton przebrzmiały, tylko buki, srebrne lipy i topole wciąż prowadzą rozhowory, niby gwarzą, niby radzą, czy nastanie taka chwila, taka chwila jasna, złota, kiedy przejrzą syny ludzkie, kiedy ujrzą kwiat paproci, jako lilia kwiat przeczysty, jako słońce promienisty...

W.

Patrol Lwów

Powieść z życia obozowego pierwszych skautów polskich z r. 1912.
Napisał Kazimierz Kalinowski. — (Ciąg dalszy)

Już byli bliziutko, a nawet w blasku ogniska byliby go mogli zobaczyć, ale właśnie grupa olch i ściana łoziny, ciągnąca się wzdłuż strumyka, który sączył się przez środek łąki, zasłoniły im całkiem widok na ognisko. Dym tylko w rudą koronę stroił czub kępy olszynowej, nad którą łuna biła w niebo.

Dobra chwila upłynęła od czasu, gdy trębacz skończył grać na mazurkową nutę i milczał. Idąc tedy omackiem ku niemu coraz śpieszniej, ale i coraz ostrożniej ze względu na mokradła, poczęli wykrzykiwać, by jaki odzew z jego strony wywołać. Zaraz im Bolek na dowód, że jeszcze nie ugrzązł ani humoru nie stracił. odpowiedział, lecz nie trąbką, bo snać ręce miał zajęte; zaśpiewał niby ochoczo, ale przyjaciele wyczuli, że chłopak, lubo z rozmysłem wybrał krakowiaka, świeżo na obchód „wianków“ i „sobótek“ przez Janusza napisanego, musi być w ciężkiej potrzebie, bo głos mu drżał, jak gdyby śpiewak dygotał na całym ciele.

Danaż moja dana
Wiosno ukochana,
Zostaw mi swe krosno,
Młodości mej wiosno.

Nim splonuje żytko,
Nim zrodzi pszenica,
Niech nadziei nitką
Szyje twa iglica.

Niech mi wyhaftuje
Żar, co w duszy czuję,
Młodzieńcze zapały,
Co pokruszą skały.

Gdy wiatr liście zmiecie,
Jesień ogród zwarzy,
Duszy mi nie zgniecie
Kamieniem z cmentarzy.

Ile w duszy miodu
Wsączysz mi za młodu,
Tyle mniej goryczy
Życie mi użyczy.

Co piękne a czyste
Zdobi twoje krosno,
Zostaw na wieczyste
W duszy mojej, wiosno!

Zostaw mi młodzieńcze
Wiary mojej tęcze —
Szczęściem haftowana
Młodości — oj, dana!

— Oj dana-da-dana — powtórzyli echem druhowie, a Stach Sokolik, dłoń w trąbkę złożywszy przy ustach, zakrzyknął w stronę mocno dymiącego ogniska:

— Ale coś nasz Wojski nie tęgo się miewa, kiedy aż słychać, jak mu się trzęsie: młoooodości... oj, daaana...

Na trzęsawisku.

— Może z was który zziąbł, koledzy — wołał Barski w stronę zbliżającego się patrolu — jest szklanka gorącej herbaty... Tylko, niestety, nie mam sposobu, jakby wam ją podać, bo się sam ruszyć nie mogę, a nikt też do mnie przystąpić się nie odważy...

— Co ty Bolku wyrabiasz? — krzyknął doń z odległości kilkudziesięciu kroków Leszek, przypatrując się przez szkła Trębaczowi, którego nareszcie zobaczył niewyraźnie w mdłych blaskach lichego ognia. — Herbatę gotujesz dla gości, a sam drżysz z febry. Wypijno ją sam natychmiast.

— Nie chce się to gałgańskie próchno palić — wołał Bolek — oczy mi dymem wygryza, a kucharzowi ciepła dać nie chce. Za wasze zdrowie, koledzy, wychylam ten rozgrzewający napój — dodał, szczękając już zębami. I jął pośpiesznie pić herbatę.

— Prędko ogniska w paru miejscach rozniecić dla oświetlenia moczarów — rozkazywał Zawisza.

Za małą chwilę tu i ówdzie płomienie buchnęły z trzaskiem, a znosić gałęzie na paliwo pomagał i pan Rymsza. Światła rozjaśniły mroki. Opędzając się komarom, rozejrzano się w przestrzeni.

(Ciąg dalszy nastąpi).